№ 26.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 16 (28) Czerwca 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11 1/4, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33 3/4). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, - w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

TADEUSZ GORECKI.

Piękny i zazdrości godny jest zawód artysty, gdy myśl jego opromieniona duchem Bożym wzlata w krainę ideału i z niéj przynosi tę cząstkę Bóstwa co się pięknem zowie, by ją potém w kształtach dostępnych dla zmysłów uczynić własnością ludzkości. Lecz i w sztukach pięknych, jak we wszystkiém, różne są stopniowania odcieni talentu. Taki geniusz jak Rafaela lub Michała Anioła zaledwie w długiéj wieków kolei zabłyśnie światu. Niemniéj przeto godni są uznania artyści, którzy chociaż nie dosięgli wyżyn, do jakich wybrani tylko wznieść się zdołali, jednak wytrwałą pracą i prawdziwą miłością sztuki zasłużyli sobie na zaszczytną wzmiankę u współczesnych i trwałą chociaż niezbyt rozgłośną sławę w przyszłości.

Do rzędu takich artystow malarzy należy zmarły niedawno Tadeusz Gorecki.

Urodził się w roku 1826 z ojca Antoniego, znanego poety i bajkopisa i matki Weroniki z Ejdziatowiczów.

Pod dozorem zacnéj i rozumnéj matki pierwsze nauki pobierał w prywatnym zakładzie w Wilnie, zostającym pod sterem zacnego przyjaciela jego ojca. Charakter jego i wzajemny z Antonim Goreckim stosunek najlepiéj określa wierszyk tego ostatniego, do nauczyciela i opiekuna swéj rodziny, a kończący się temi słowy:

„Widzę matkę méj żony jak was błogosławi,
„Jéj modlitw tarcza was kryje.
„Szczęśliwy komu nieszczęść godzina wybije,
„Kiedy tak dzieci zostawi!
„Może prostota ich kogo zdziwi,
„Nie będąc sztuką świata ozdobni,
„Lecz przy nauce skromni, poczciwi,
„Niech będą tobie podobni!



Tadeusz Gorecki.

Taka ufność, taka serdeczna przyjaźń dla nauczyciela nie została zawiedzioną. Pełen nauki i gruntowego rozsądku pedagog, bacznie śledził rozwijające się zdolności młodego chłopca — a nadzwyczajny talent do rysunku który się u Tadeusza objawił zwrócił jego uwagę. Nie szczędził więc starań aby ten talent rozwijać o ile tylko ówczesne zasoby Wilna na to pozwalały; a trzeba wyznać że zasoby te były bardzo szczupłe. Dobry pejzażysta Wincenty Dmochowski, miniaturzysta Rypiński i Rusiecki, to prawie wszyscy ówcześni (1838 — 1840) przedstawiciele malarstwa w Wilnie.

Wkrótce zaciasnym stał się widnokrąg wileński dla talentu młodego Tadeusza. Udał się zatem do Petersburga, gdzie się kształcił w Akademji Sztuk pięknych, pod kierunkiem słynnego twórcy „*Ostatniego dnia Pompei*“ Briułowa. Ten znakomity mistrz odrazu ocenił talent Goreckiego i za jego wskazówką i radą młody artysta udał się za granicę. Drezno, Paryż, wreszcie Włochy — to ojczyzna, to przybytki dla malarzy. Tam więc przebywał ciągle Gorecki studijując dzieła Mistrzów. Głębokie uczucie religijne, łagodny i słodki charakter, przeważnie tam wpłynęły na rodzaj który sobie obrał. Malował głównie obrazy religijne.

W Paryżu poznał córkę Adama Mickiewicza, i ta w krótce została jego żoną. Tak więc życie mu płynęło cicho, spokojnie, we wzajemnéj miłości obranéj towarzyszki życia, która będąc dziedziczką wieszczego ducha swego ojca, stała się natchnieniem Artysty—męża. Niedługo jednak szczęście to trwało. Poetów i artystów krótki pobyt na ziemi; śmierć przecięła pasmo dni Tadeusza, właśnie w porze najsilniejszego rozwoju jego talentu, z wielką dla sztuki szkodą.

Wbrew upowszechnionemu mniemaniu, że życie artysty całe się składa z dziwnych, nadzwyczajnych wypadków, gwałtownych

uniesień fantazyi, ciągłéj wewnętrznéj a często bezsilnéj walki, by wcielić w widome kształty pojęcie Ideału, które w duszy jego gości, widzimy w téj pobieżnéj biograficznéj wzmiance, że życie Goreckiego spłynęło bardzo zwyczajnym, rzec można nawet, pospolitym biegiem. Bo i jakże tu porównać takie zwyczajne codzienne zatrudnienie, z życiem naprzykład Rafaela, z jego namiętną miłością dla Fornariny, albo Michała Anioła Buonarotti, malarza, rzeźbiarza, architekta a przytém jeszcze inżeniera i żołnierza? — lub też hollenderskiego malarza Brauwera, co cały czas przepędził w szynkowni, malując arcydzieła, sprzedając je za bajeczne ceny, by potem otrzymane pieniądze strwonić w jednéj orgji z towarzyszami rozpusty, a gdy już nędza oknem zaglądać zaczęła znowu brał się do pędzla by jeszcze i jeszcze zarobione pieniądze rozrzucać.

Nie możemy tu wyliczyć wszystkich dzieł Goreckiego. Znany nam bowiem tylko jest z Wystawy Zachęty Sztuk Pięknych obraz jego pod tytułem: Ostatnia Kommunia. Znawcy zarzucają mu zbyt martwy koloryt. Nie będziemy się o to spierać—nie mając najmniejszego prawa do wyrokowania w téj mierze, ale jest w nim kompozycya głęboka a przytém łatwa do pojęcia dla mass. Cztery tu postacie, każda z nich odmienna a wszystkie razem harmonijne, a nadewszystko *prawdziwą* całość stanowią. W pięknéj, wybladłéj twarzy umierającéj młodéj kobiety całe życie skupiło się w oczach, które jak promień zachodzącego słońca oświecają jeszcze oblicze gasnące pod lodowatą śmierci dłonią. Wzrok utkwiony w Hostję Świętą, którą kapłan do ust umierającéj zbliża, świeci jeszcze ostatnią iskrą Wiary i Nadziei. Wzrok ten umierającéj—to cały obraz; reszta, to wszystko akcessorya—niezbędne do uwydatnienia myśli artysty. Twarz Kapłana nie wyidealizowana wcale, poważna ale zimna, prawie obojętna; rzadki siwy włos na głowie wskazuje że już bardzo długi szereg podróżników opatrzył Świętym Wijatykiem na drogę wieczności. Może jutro, z tym samym wyrazem twarzy obmyje niemowlę wodą Chrztu Świętego, na początek ziemskiéj pielgrzymki, lub młodéj parze stułą ręce zwiąże. Zdaje się nam że ta twarz koniecznie musi być portretem. Kobieta przy łóżku, ze złożonemi do modlitwy rękami, z ustami szepcącemi pacierz, widocznie pilnuje chwili gdy już trzeba będzie zacząć odmawiać modlitwy za konających. Chłopak z dzwonkiem ciekawie wlepił wzrok w twarz umierającéj i widać że pierwszy to raz dopiero w życiu będzie świadkiem téj wielkiéj chwili co cię śmiercią zowie.

Nie znając innych prac zawcześnie zgasłego artysty, musieliśmy się ograniczyć opisem jedynego jakiśmy oglądali obrazu jego pędzla. Powtarzamy, że do kompletnego sądu nie rościmy najmniejszego prawa. Może uczucie jakieśmy mieli dla człowieka, spędziwszy z nim razem kilka lat pierwszéj młodości, wpływa na nieuczony nasz sąd o artyście. Nie wahamy się jednak wyrzec — że w krótkiém swém życiu—dobrze się zasłużył sztuce. Z żalem posyłamy za nim ciche westchnienie. Pokój jego popiołom.

Stanisław Rewieński.

PSIA PRZYJAŹŃ

(BAJKA)

Wolny przekład z Krylowa.

przez

ADAMA PŁUGA.

Leżąc pod oknem kuchni, co stało rozwarte,
Grzały się na słoneczku dwa psy, Hardy z Zuchem.
Właściwiéj wprawdzie było u wrót trzymać wartę,
Lecz że i człowiek, zwłaszcza z pełnym brzuchem,
Woli, nad pracę, słodkie próżnowanie,
Więc im bynajmniéj nie ganię,
Że w dzień, z spokojną o złodziei głową,
Zamiast, szczekając na wiatr, gardło zrywać,
Woleli raczéj spoczywać,
I rozważając to, owo,
Gwarzyli sobie poufnie o różnych różnościach:
O sługach, panach i gościach,
O psiéj swéj służbie, doli i niedoli,
O tém co głaszcze, co boli,
O tém co bawi, co drażni,
A nareszcie — o przyjaźni.
— Gdzież znajdziesz rozkosz tak wielką, —
Powiada Hardy, — jak w braterskiéj zgodzie?!
Cóż jest milszego, jak w chłodzie czy głodzie,
Wspierać się wzajem, ciałem ogrzać ciało,
Ostatnią kosteczką małą,
I ostatnią pomyjek dzielić się kropelką!
Czuwać nad bezpieczeństwem przyjaciela swego,
O nim wciąż myśląc, zapomnieć na siebie,
Własną swą skórę poświęcić za niego,
A nawet głowę położyć w potrzebie!
Gdyby naprzykład, Zuchu, nam się wzajem
Takiéj przyjaźni związać nicią złotą,
Wierz mi, że świat by stał się dla nas rajem. —
A Zuch mu na to: — I owszem, z ochotą!
Już mi się zdawna srodze serce kruszy,
Że choć i z doli bliscyśmy i z rodu,
Choć się chowamy pospołu od młodu,
Dzień w dzień jednakże szarpiem się za uszy.
I o cóż? proszę, tylko się zastanów:
Wszakże z łaski dobrych panów,
Obu się nam nieźle dzieje;
Głód nam nigdy nie dociska,
A na słoty i zawieje
Mamy zaciszne w budach legowiska.
Wstyd więc nam obu, obu ciężkie winy,
Że się tak za łby wodzim bez przyczyny!
Nadto, wiesz bracie, że pies z dawien dawna,
Jako przyjaźni wzór, szacunek budzi;
Ale gdzież ta przyjaźń sławna?
Hańba! psy się z niéj stały podobne do ludzi!
— Zmyjmyż tę plamę my z psiego imienia!
Wykrzyknie Hardy z zapałem.
Jam twój odtąd sercem całem,
Aż do ostatniego tchnienia! —
— A jam twój, Hardusiu złoty! —
Zuch podchwyci. I nuż chyżo
Do igraszek, do pieszczoty.
To się iszczą, to się liżą,
To znów wiodą bój udany.
Na przemiany —
Ten umyka, a ów goni;
Ten na ziemię plackiem pada,
Ów mu niby na kark wsiada....
Aż nareszcie zadyszane,
Miléj zabawy mając już do syta,
Poszły znów spocząć pod kuchenną ścianę.
— Nie prawdaż, bracie, — Hardy Zucha pyta, —
Na miękkich jego kudłach opierając głowę, —
Że to lepsza, niżeli dawne burdy owe,
Po których nosim krwawe zausznice? —
— Prawda! — Zuch na to, — widzę tę różnicę,
I w sercu rozkosz czuję niezrównaną
Na myśl, że w takiém szczęściu i weselu
Spędzim już całe życie, luby przyjacielu!...
Przyjacielu!.. o jakież to czarowne miano!..
Przyjacielu!... — Wtém kuchcik, przez rozwarte okno
Cisnął kość na śmiecisko; przyjaciele nowi
Zoczywszy ją, co siły razem ku niéj skokną.
Hardy dopadł jéj pierwszy, porwał i Zuchowi,
Warcząc, ostrymi kłami błysnął groźnie w oczy;
Zuch, jak na zucha przystało,
Do walki zawsze ochoczy,
Żwawo i śmiało
Za łeb drucha; ten wzajem! i już bój się toczy,
Już im obudwóm leci piana z pyska,
Już jeden z drugim tak czule się ściska,
Że aż kudły się sypią, że aż trzeszczą żebra,
A uszy w krwawe stroją się korale!
I trzeba było zimnéj wody cebra,
Żeby się na śmierć w dzikim nie zażarły szale!

I ludzie też miewają takie obyczaje:
Słysząc czułe ich słówka, nieraz ci się zdaje,
Że w nich jedno jest serce, jeden duch na dwoje;
Ale rzuć im kość tylko... a w kąt i psy moje!

STRAŻNICA ZAPOROŻSKA.

W państwie rossyjskiém, od czasów W. Księcia Iwana III. aż do Piotra Wielkiego, na pograniczu, dla obrony kraju, prowadzono linije warowne i stawiano fortece. Po za temi ciągnęły się obszerne niezaludnione stepy, bujną pokryte trawą, bardzo dogodne do napadu łupieżców, szczególniéj Krymskich Tatarów. Do pilnowania granic, co rok, z polecenia rządu wysyłano podczas lata niewielkie oddziały jezdnych i przewodników, którzy *stannicznikami* się nazywali, dowództwo nad nimy powierzając zwykle synom bojarskim. Dotarłszy do miejsc wskazanych, stannicznicy winni byli niezwłocznie zawiadamiać miejskich wojewodów, w razie gdy spotkali Tatarów, lub też dostali języka o zamiarach ich Chana.

Kozacy zazwyczaj stali po strażniach na to, aby odbywali patrole, podjazdy i inne stepowe służby. Byli zaopatrzeni w najlepszą amunicję, bo każdy z nich miał muszkiet, szablę, cztery pistolety i pikę. Rycina którą w dzisiejszym N-rze na odwrotnéj stronie załączamy, przedstawia właśnie malowniczy obraz takiéj strażnicy, nad porohami Dniepra—wśród nocy.

FOTOGRAFIJA.

W dzisiejszych czasach fotografija tak już jest rozpowszechnioną, ceny jéj tak są przystępne, że każdy prawie za jéj pomocą rysy swoje dla potomności przechować może.

Mimo to jednak, zasady sztuki znajome są szczupléj dosyć liczbie ludzi, a tych którzy ją dokładnie znają policzyćby niemal można. Wiadomém mi jest, z własnego doświadczenia, jak dziwaczne i śmieszne pojęcia mają niektórzy o fotografji. I tak n. p. zdarzało mi się, iż potrzebowałem na seryo przekonywać *dobrze poinformowane* osoby, że fotografowanie zupełnie piękności płci nie szkodzi, lub że fotograf chowający się na chwilę pod czarne sukno, nic a nic pędzelkiem na szkle nie maluje. Nie myślę tu bynajmniéj rozbierać wszystkich szczegółów i tajemnic fotografji, albowiem zamiarem moim jest tylko dać treściwy, ogólny zarys sztuki fotograficznéj, któryby mógł obeznać czytelników z jéj głównemi zasadami. Pierwsze odkrycie, które bliżéj badane i ciągle ulepszane doprowadziło do rezultatów jakie dziś podziwiać już musimy, zrobione było w r. 1802 przez Wedgwooda sławnego angielskiego garncarza. Spostrzegł on, że biały papier, zwilżony roztworem saletranu srebra, czyli tak zwanego kamienia piekielnego, wystawiony na działanie światła dziennego, zmienia kolor i czernieje. Zauważył także, że papier ten pod wpływem światła słonecznego czernieje w ciągu dwóch lub trzech minut, w słabszém zaś świetle znacznie dłuższego czasu na zmianę koloru potrzebuje. Opierając się na téj zasadzie Wedgwood potrafił skopijować profil osoby, któréj cień rzucony był na zaprawny papier. Był to pierwszy, niemowlęcy jeszcze krok na drodze, jaką miała i jaką ma jeszcze do przejścia sztuka fotograficzna.

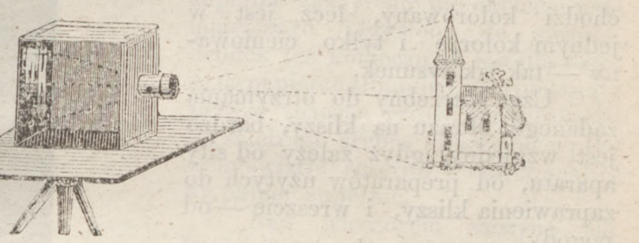
Pomijając ciekawe i pracowite badania własności światła, którym się oddawali uczeni chemicy i astronomowie jak: Talbot, Darg, Taupenat, Legray, Arago i inni, dwóch uczonych: Niepcé i Daguerre ogłosili w r. 1829 swój nowy wynalazek, ściśle z fotografiją wiążący się. Blaszkę srebrną doskonale wypolerowaną wystawiali oni w ciemności na działanie pary jodu, którego cienka warstwa na niéj się osadza. Na blaszce w ten sposób przyrządzonéj, odbija się zmniejszony obraz osoby lub przedmiotu przed kamerą obscurą znajdującego się, który to obraz, przez wystawienie blaszki na działanie pary merkuryuszu, utrwala się, czyli, że bez szkody wystawiony być może na działanie światła dziennego. Wizerunki w ten sposób otrzymywane nazwane zostały od nazwiska wynalazcy *daguerrotypami.* Wynalazek ten od pierwszéj chwili stał się własnością ogółu, gdyż Daguerre bynajmniéj w tajemnicy go nie zachowywał. Wkrótce jednakże okazały się wady i niedokładności daguerrotypów, a najgłówniejszą z nich była ta, że po pewnym przeciągu czasu, przez działanie światła i powietrza, obrazek zupełnie prawie znikał. Zaczęto więc pracować nad udoskonaleniem sztuki, która się jeszcze fotograficzną nie nazywała i wynaleziono *panotypy*, czyli portreciki na ceracie robione. Komu zawdzięczamy ten wynalazek? Niewiadomo.... Własności światła i czynników chemicznych przy daguerrotypach używanych, zarówno badali i starali się ulepszyć uczeni dla sławy, jak i ludzie dla których sztuka ta była kwestyą życia, dla..... grosza. Jakkolwiek na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że pomiędzy obrazkiem otrzymanym na ceracie lub na blaszce srebrnéj niewielka zachodzi różnica, jednakże wynalezienie panotypów było wielkim krokiem dla sztuki fotograficznéj, gdyż portret otrzymywał się nie wprost na ceracie, lecz na tafli szklannéj, odpowiednimi preparatami zaprawioną, z któréj cienka warstwa owych preparatów, tworzących żądany obraz, przenoszoną dopiero była na ceratę. Dalsze ulepszenia panotypów utworzyły fotografiją, czyli portrety przenoszone ze szkła na papier bez starcia i bez uszkodzenia obrazu na szkle otrzymanego.

Przebiegłszy w tych niewielu słowach pierwszy początek i dalszy rozwój sztuki fotograficznéj, przejdźmy teraz do niéj saméj, czyli do fotografji, jaką dzisiaj na każdym niemal kroku spotykamy.

Aparat fotograficzny składa się z dwóch części zasadniczych, to jest: z *kamery* i *objectivy*. Kamera, jest to skrzynka drewniana, wewnątrz czarna, zamknięta z jednéj strony przez objectivę, z drugiéj zaś z tyłu przez szkło matowe (matówkę). Objectiva złożona jest z czterech soczewek, zupełnie równéj pomiędzy sobą wielkości.

Własność soczewki, czyli szkła powiększającego, stanowi podstawę fotografji, która doskonale uwidomioną być może przez załączony tu rysunek.

Soczewka umieszczona wewnętrzu kamery, zwrócona jest na kościół. — Ponieważ promienie światła padają na soczewkę a następnie przechodzą przez jéj środek, nie zmieniając zupełnie kierunku, czyli że idą daléj w kierunku odśrodkowym, zobaczymy przeto na szkle matowém, zamykającém kamerę, wierny, zmniejszo-



ny obraz kościoła, ale już nie w położeniu takiém w jakiém go widzimy, patrząc nań gołém okiem, lecz w położeniu w prost przeciwném.

Patrząc więc w aparacie fotograficznym na przedmiot lub osobę, na którą aparat jest zwrócony, widzimy ją na matówce dokładnie, ale widzimy przewróconą.

Ponieważ pojedyncza soczewka nie ma dostatecznéj siły do zebrania dokładnego obrazu, przeto objectiva fotograficzna jest, jak to wyżéj powiedziano, złożona z czterech równéj wielkości soczewek. Pierwsza z nich jest z obu stron wypukła, druga i trzecia tylko z jednéj strony, czwarta wreszcie z obu stron. System układu tych czterech połączonych szkieł winna jest fotografija długim i cierpliwym badaniom uczonych, którzy poznawszy dokładnie własności optyczne wklęsłych i wypukłych szkieł, zastosowali je w połączeniu, skutkiem czego obraz na matówce otrzymany, jest w środku i na bokach jasny i widoczny. Szczupły zakres tego artykułu nie pozwala nam bliżéj tłumaczyć teoryi światła i załamywania się promieni, ale, chociaż fotografija bez światła istniećby nie mogła, jednak że teorya ta do fizyki i optyki należy, tam też ona szczegółowo i dokładnie jest wyjaśniona.

Wiedząc już, że za pomocą objectiwy możemy zobaczyć zmniejszony, ale dokładny obraz osoby lub przedmiotu przed nią się znajdującego, przejdźmy teraz do sposobów jakie służą do pochwycenia i utrwalenia tego obrazu, jaki się oczom naszym na matówce ukazuje.

Najważniejszym i zasadniczym czynnikiem fotografji, jest saletran srebra. Pierwsze odkrycie Wedgwooda, o którém wyżéj była mowa, udowodniło własności rozkładu, jakiemu ciało to ulega pod wpływem światła. Przyjąwszy własność tę za podstawę, wynaleziono sposób utrwalenia obrazu rzuconego przez objectiwę na matówkę.

Postępowanie, którego ostatecznym celem jest otrzymanie na papierze fotografji czyli wiernéj kopji żądanego przedmiotu lub oso-

by jest następujące: taflę szkła, doskonale wypolerowaną i oczyszczoną, oblewa się z jednéj tylko strony kolodjonem. (*) Czynność tę przedwstępną należy wytłumaczyć tém, że roztwór saletranu srebra, rozkładający wszystkie niemal ciała organiczne i nieorganiczne, na naturę szkła zupełnie nie działa i wcale do niego nie przystaje; czyste więc szkło zanurzone w tym rozczynie wychodzi z niego w pierwotnym stanie. Jakkolwiek saletran srebra nie rozkłada kolodjonu, jednakże doskonale do niego przylega. Oblawszy więc taflę z jednéj strony kolodjonem i zanurzywszy ją w roztworze saletranu srebra, po kilku chwilach pokrywa się ona, od strony poprzednio zaprawionéj, cienką warstwą roztworu żółto - zielonawego koloru. (†) Cała ta czynność odbywa się w ciemnym pokoju, do którego światło ma przystęp tylko przez szybę ciemno - żółtego koloru, gdyż jak nam już wiadomo, roztwór saletranu, (srebro fotograficzne) przy świetle dzienném a nawet przy sztuczném białém, natychmiastowemu ulega rozkładowi. Przygotowaną w powyższy sposób kliszę, ciągle w ciemności zamkniętą, umieszcza się w aparacie na miejsce matówki; drzwiczki zasłaniające objectivę otwierają się i rozpoczyna się samo fotografowanie przedmiotu lub osoby. Promień światła, wraz z żądanym obrazem, pada przez objectivę, ale już nie na matówkę, lecz na kliszę zaprawioną saletranem srebra, który w miarę działajacego nań światła zaczyna się rozkładać.

Każdy kolor inaczéj działa na saletran srebra, to jest, mniéj lub więcéj go rozkłada; tym sposobem obraz osoby fotografowanéj nie wychodzi kolorowany, lecz jest w jednym kolorze i tylko cieniowany — tak jak rysunek.

Czas potrzebny do otrzymania żądanego obrazu na kliszy, bardzo jest względny, gdyż zależy od siły aparatu, od preparatów użytych do zaprawienia kliszy, i wreszcie — od pogody.

Fotografija osoby żyjącéj może być zdjętą wczasie od 25 do 30 sekund. Kopje i widoki znacznie dłuższego czasu wymagają.

Po otworzeniu (w ciemnym pokoju) kasety, zamykającéj kliszę, na któréj fotografija już jest zrobioną, zdawaćby się mogło że ona nie uległa żadnéj zmianie, gdyż zachowała takiż sam kolor, jak po wyjęciu ze srebrnéj kąpieli. Polawszy ją jednak roztworem siarczanu żelaza (koperwasu) w alkoholu, obraz otrzymany zaczyna się utrwalać i powoli coraz widoczniejszym się staje.

Ostateczne wywołanie obrazu i oczyszczenie kliszy odbywa się za pomocą roztworu cyanku potassu, rozpuszczającego i usuwającego pozostałą na kliszy powłokę saletranu srebra, który nie wystawiony na działanie światła, rozłożony przez nie nie został. Po téj ostatniéj czynności, klisza już jest gotowa. Należy ją tylko zabezpieczyć powierzchownie, gdyż warstwa na któréj obraz jest osadzony niezmiernie jest delikatną i najlżejsze dotknięcie zniszczyć ją może. W tym celu pokrywa się kliszę od strony czynnéj warstwą zupełnie przezroczystego lakieru, po wyschnięciu którego już można kopjować, czyli przenosić fotografije, z kliszy na papier.

Chcąc bliżéj wytłumaczyć tworzenie się obrazu, wypada mi jeszcze raz powtórzyć, że każdy kolor słabiéj, lub silniéj rozkłada saletran srebra. Im kolor jest jaśniejszy, tém prędzéj srebro jest przez niego rozłożone. Tym więc sposobem, tam gdzie był kolor biały, saletran srebra zostawił po sobie na kliszy dosyć grubą nieprzezroczystą warstwę, tam zaś gdzie był kolor czarny, saletran nie uległ żadnemu prawie rozkładowi i zmyty został cyankiem potassu, przy ostateczném wywołaniu obrazu, tak, że zupełnie prawie czyste miejsce po nim pozostało.

Wytłumaczywszy działanie dwóch wprost przeciwnych sobie kolorów, łatwo dojść możemy do wniosku, że wszystkie inne pośrednie kolory, odpowiednio do tego czy są ciemne lub jasne, rozkładają saletran srebra, który stosownie do odebranego wrażenia cieńszą lub grubszą powłoczkę swoję na kliszy pozostawia.

Spojrzawszy pod światło na kliszę, nie znając działania kolorów, mylnego możnaby nabrać przekonania o kolorach przedmiotu, lub osoby fotografowanéj, gdyż, jakkolwiek kształty jéj są widoczne, jednakże tam gdzie był kolor biały, widzimy odpowiednie miejsce na kliszy zaciemnione—i na odwrót. Dla tego też klisza nazywa się *negativą* czyli obrazem wstecznym — ujemnym, a *positiv* czyli tożsamość, dopiero na papierze otrzymać można.

Teraz ujęliśmy już obraz, ukazujący się matówce i ten zniknąć nam już nie może, gdyż osadzony jest na szkle i zabezpieczony warstwą lakieru. Jeszcze to jednak nie wystarcza; albowiem obraz na

(*) Kolodjon jest rozt worem bawełny strzelniczéj w eterze.

(†) Tafla szkła w ten sposób zaprawiona nazywa się kliszą i tak już ją daléj nazywać będziemy.



STRAŻNICA ZAPOROŻSKA (str. 203).

kliszy widoczny jest bardzo słabo i z niego zaledwie ogólne pojęcie o osobie fotografowanéj mieć można. Starać się tedy będziemy wytłumaczyć, jakim sposobem można otrzymać z kliszy, dobrą, jasną, każdy szczegół uwydatniającą fotografję.

Papier, na który przenosi się obraz na kliszy otrzymany, jest biały, z jednéj strony powleczony warstwą surowego białka. Białko prócz pięknego połysku, nadaje papierowi większą czułość na działanie światła.

Papier ten zwany albuminowym, zanurza się od strony białka (albuminu) w roztworze saletranu srebra, który, jak widzimy, w całéj fotografji jest czynnikiem zasadniczym. Tutaj już wynalazek Wedgwooda, o którym wyżéj mówiłém, w całości prawie jest zastosowany.

Papier albuminowy przykłada się szczelnie do kliszy, którą się wstawia w drewnianą ramkę, z jednéj strony zupełnie zaciemnioną, z drugiéj zaś oszkloną. Ramkę tę wystawia się, naturalnie stroną oszkloną, na działanie światła dziennego. Tutaj już kończy się prawie zupełnie praca fotografa i światło przez czas niejaki staje się jedynym jego współpracownikiem.

Dowiódł nam już Wedgwood, że w miarę silniejszego lub słabszego światła, papier srebrem zaprawiony prędzéj, lub wolniéj czernieje. Otóż więc obraz na kliszy osadzony, w miarę grubości warstwy jaką jest pokryty, silniejszy, lub słabszy przystęp zostawia dla światła, które ma działać na zaprawny papier pod kliszą znajdujący się.

Tam więc gdzie w skutek działania czarnego koloru klisza została zupełnie przezroczystą i pokryta jest tylko cieniutką warstwą kolodionu i lakieru, światło silniéj działa na zaprawny papier i czerni go prędko a silnie. Tam zaś gdzie przez działanie koloru białego, klisza pokryta jest dosyć grubą i nieprzezroczystą warstwą, światło nie ma przez nią dostatecznego przystępu i zaprawny papier pozostaje pod kliszą bez zmiany.

Czas, potrzebny na skopjowanie fotografji — zależny jest od pogody; jeżeli światło jest silne, fotografija w przeciągu pół godziny skopjowaną być może; jeżeli zaś dzień jest pochmurny i ciemny, to nawet kilka godzin czasu do przeniesienia jéj na papier potrzeba.

Dodać tu jeszcze wypada, że jakkolwiek fotografija potrzebuje światła i istniećby bez niego nie mogła, potrzebuje ona jednak tylko zwyczajnego światła dziennego,— gdyż bezpośrednie światło słoneczne jest nawet dla niéj szkodliwe. Z tego więc powodu fotograficzne altany zwykle zwrócone są w stronę północno-zachodnią. Kopjowanie fotografji odbywa się także w cieniu.

Fotografija, po skopjowaniu, wprost z ramki wyjęta, pozór ma wcale nieestetyczny, gdyż pierwotnie niezmiernie jest czarna i wygląda prawie jak niedopalony w ogniu kawałek papieru. Wszystkie te wady usuwają dopiero kąpiele, przez które każda fotografija przejść musi.

Ponieważ ostateczne techniczne wykończenie odbywa się zwykle w godzinach popołudniowych, przeto skopjowaną fotografję przechowywać trzeba przez kilka godzin, w miejscu zupełnie zakrytém, nie dającém najmniéjszego przystępu do światła. Środek ten koniecznym jest dla tego, że na papierze albuminowym pozostaje zawsze znaczna część nierozłożonego saletranu srebra, który pod wpływem światła sczernił a nawet spaliłby papier zupełnie.

Nad wieczorem zaczyna się kąpiel fotografji, która po namoczeniu w czystéj wodzie zanurza się w płynie—w którego skład wchodzi chlorek złota.

Preparat ten niedawno dopiero zastosowany został do fotografji, a główną jego własnością jest to, że nadaje jéj piękny, brunatny kolor, jaki w nowszych fotografijach widzimy. Po dwóch lub trzech minutach kąpieli w chlorku złota, fotografije przechodzą do roztworu siarczanu wody, który oczyszcza je z pozostałego z poprzedniéj kąpieli złota; potém już wymywa się je tylko w czystéj wodzie, jedynie dla rozpuszczenia pozostałych jeszcze części nierozłożonego saletranu srebra. W czystéj wodzie moczą się fotografije 4 do 5 godzin, przyczem co pół godziny woda się odświeża.

Kąpiel jest już ostatnią czynnością fotografa, który dzieło swoje oddaje w ręce introligatora — a ten ostatni artyście, który ją ręcznym retuszem ostatecznie wykończa.

Z tego cośmy powiedzieli o sposobach robienia fotografji, widzimy, że ona jest tylko kawałkiem papieru, silniéj lub słabiéj przez saletran srebra zaciemnionym. Wiedząc o tém, gdy spojrzymy na dobrą fotografję,—nie możemy się oprzeć podziwieniu jakie w nas obudza jéj piękność i dokładność.

Czyż ręka ludzka byłaby w stanie wykończyć rysunek równie dokładny, równie delikatny i tak doskonale uwydatniający każdy szczegół? Nie.... Rozum ludzki ujął w karby jeszcze jeden potężny, a na pozór nie dający się ująć żywioł... światło.

Tylko z takim współpracownikiem mógł człowiek dojść do rezultatów tak pięknych i tak dla sztuki i nauki pożytecznych.

Każdy niemal zakład fotograficzny ma swoje sekrety tyczące się przyrządzania kąpieli, którą zaprawia się klisza lub papier do kopijowania.

Tajemnice te polegają na używaniu w pewnych stosunkach, których nigdy za stanowczą zasadę przyjąć nie można, jodu, bromu i innych czynników chemicznych. Ponieważ jednak zasada fotografji jest zawsze ta sama i podstawą jéj jest saletran srebra, przeto nie wdajemy się już tutaj w opisywanie drobniéjszych szczegółów, które tylko samych fotografów obchodzić mogą.

Wypada atoli jeszcze dodać kilka słów o ulepszeniach zaprowadzonych w sztuce fotograficznéj. W ostatnich czasach pojawiły się dwa nowe rodzaje fotografji, a mianowicie: główki na czarném tle — jasno wychodzące, które rzeczywiście wyglądają jak płaskorzeźby,—i fotografije, tak zwane á la Rembrandt, z jednéj tylko strony oświetlone. Oba te rodzaje są tylko figlami fotograficznymi, i jakkolwiek dowodzą ulepszeń jakie w fotografji zrobić można, nie dadzą się jednak do ważniéjszych wynalazków policzyć.

Portrety na czarném tle robią się w ten sposób, że wstawia się w kamerę tekturę, z małym w środku otworem, przez który tylko obraz głowy osoby fotografowanéj na matówkę rzucony być może, reszta zaś postaci tekturą jest osłonięta,—przez co głowa wychodzi na tle zupełnie prawie czarném.

Drugi sposób polega na tém, że całą altanę fotograficzną osłania się ciemnemi firankami, zostawiając tylko jeden otwór wielkości dwóch lub trzech łokci kwadratowych, przez który promień światła pada na osobę. Oświetlenie to dowolnie zmieniać można, i tak: jeżeli chcemy oświetlić osobę z góry, zostawia się w suficie miejsce otwarte, jeżeli zaś chcemy otrzymać boczne oświetlenie, to sufit się zasłania a światło bokiem się wpuszcza.

Środki te wpływają wprawdzie na wyrobienie dobrego smaku, i dzisiaj każdy już na złéj lub dobréj fotografji poznać się umie, ale jakeśmy już powiedzieli, wynalazkami one nie są. Na téj drodze rzeczywiście zrobiono tylko jeden wynalazek, który od niedawnego czasu i u nas jest zastosowany.

Mówimy tu o druku fotograficznym, od nazwiska wynalazcy nazwanym *albertotypją*.

Do otrzymania druku fotograficznego, przedewszystkiem z osoby lub przedmiotu żądanego potrzeba zrobić zwyczajny, fotograficzny negatiw. Potém czystą, grubą taflę szkła pokrywa się warstwą białego, przezroczystego kleju, organicznego pochodzenia, rozpuszczalnego tylko w gorącéj wodzie. Po dokładném wysuszeniu w temperaturze trzydziestu kilku stopni ciepła, warstwę kleju polewa się roztworem *dwuchromianu potassu* lub *amonium*. Czynność tę odbywać trzeba w pokoju tak samo zaciemnionym, jak w zwykłe fotograficzném laboratorium.

Dwuchromiany alkaliczne mają tę własność, że pod działaniem światła łączą się z klejem i tworzą z niego materyę nieprzemakalną, w wodzie nierozpuszczalną. Działanie to, jak widzimy, jest odpowiednie działaniu saletranu srebra na papier.

Do zaprawionéj w ten sposób płyty przykłada się kliszę i takową wystawia na działanie światła. Po kilkunastu godzinach obraz z kliszy przechodzi na płytę, która tym sposobem, w miejscach, do których światło nie miało wolnego przystępu, pokryta jest nie przemakalną powłoką kleju, i na ozwrót. Po zmyciu dwuchromianu, który się z klejem nie połączył, płyta jest już zupełnie gotową; wtedy można z niéj nieskończoną ilość egzemplarzy odbijać, sposobem bardzo do litografji zbliżonym.

Przygotowaną płytę zwilża się wodą; tam więc gdzie kléj z dwuchromianem się nie połączył i stanowi materyę przemakalną, woda w niego wsiąka; tam zaś gdzie się z nim złączył, woda żadnego nie ma przystępu.

Usunąwszy z płyty zewnętrzną wilgoć, przeciąga się po niéj walec drukarski, takąż farbą pokryty; wtedy do miejsc wewnętrznie suchych farba przylega, a nie czepia się miejsc w które woda wsiąkła. Następnie pokrywa się płytę zwykłym białym papierem, i przeciąga się pod prassą, która farbę ze szkła przenosi na papier czysto mechanicznym sposobem.

Przypomnieć tu jeszcze czytelnikom wypada teoryę tworzenia się negatiwu, który pokryty jest warstwą mniéj lub więcéj rozłożonego saletranu srebra, zostawiającą tym sposobem mniejszy lub większy przystęp dla światła.

Tak samo rzecz się ma przy przenoszeniu obrazu z negativu na płytę klejem i dwuchromianem zaprawioną, czyli, że w miejscach gdzie klisza pokryta jest cienką warstwą srebra, dwuchromian silniéj łączy się z klejem — i przeciwnie.

W druku więc fotograficznym równą prawie dokładność i miękkość w cieniowaniu otrzymać można jak i w fotografji.

Pierwszą drukarnię fotograficzną założył w Warszawie, najdawniéjszy, najzasłużeńszy w kraju naszym fotograf i niezmordowany na tém polu pracownik, pan Karol Bayer, wraz z panem Dutkiewiczem, właścicielem znanego zakładu fotograficznego.

Druk fotograficzny w większéj ilości egzemplarzy odbijany bez porównania jest tańszy od fotografji, a nawet od litografji; korzystnie więc zastosowany być może do drukowania dzieł sztuki lub portretów ludzi znakomitych, gdyż tego rodzaju rzeczy rozchodzą się nie tuzinami, jak fotografije zwyczajne, lecz setkami a nawet tysiącami.

Odbicie jednak małéj liczby egzemplarzy kosztowniejszém jest niż dzisiejsze fotografije. Być może że ulepszenia w druku zrobione usuną z czasem fotografję, jednak dziś jeszcze stoi ona na dosyć silnéj postawie. Postęp cudów dokonywa, a nauka nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa swojego.

Artur Stanisławski.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(*Dalszy ciąg*).

— Ciekawam kto tu po nas zamięszka—myślała Sybilla—kto zajmie mój pokój, kto będzie przechadzać się po ogrodzie i czytać książki które ja teraz czytam? Ów stary ksiądz de Renneville nie myślał że tu przybędzie dziewczę i weźmie się do jego klassyków i ojców Kościoła. I on czytał Świętego Efrema wizję sądu ostatecznego, bo znalazłam jego przypiski na marginesie. Czy też i on ujrzał swoich przyjaciół i znajomych w owym tłumie jak ja ujrzałam swoich?...

— Chiałbym zwalić ten krzyż i cały ten klasztor, — rzekł Smith, decydującym tonem.

Sybilla drgnęła. W zamyśleniu podeszła pod otwarte okno jadalni, skąd teraz głos Smitha dał się słyszeć. Ujrzała go też — pokój bowiem był oświecony — ponurego, uporczywego, prawie zuchwałego; a obok ojca, spokojnego, uśmiechniętego, uprzejmego. Któż był ten grubijanin, źle wychowany, mówiący o zwaleniu krzyża i klasztoru? I znów Sybilla zaczęła budować zamki fantastyczne, jak zwykle; ale zamki te nie były wesołe, ani świetne. Przedstawiały jéj historję oszustwa i ruiny, w któréj jéj ojciec figurował jako ofiara, a która kończyła się uwieńczeniem niecnoty w osobie Smitha, zajmującego Saint - Vincent. P. Kennedy i jego córka wsiedli już do pojazdu, którym mieli się oddalić,a Smith przez okno kiwał im głową, wyszczerzając zęby. Dumanie to przerwał wesoły głos Kennedego:

— Sybillo, Sybillo, pójdź przyrządzić herbatę.

Sybilla posłuchała wezwania, wstydząc się sama siebie, gdy spojrzała na Smitha. Może być ordynarnym, źle wychowanym, ale zpewnością jest uczciwym. Ani chytrość, ani niegodziwość nie malowały się w jego twarzy lub ruchach. Znowu Sibilla zmiękła w duszy i poczuła ową litość, jaką w niéj pierwszy jego widok obudził. Ale, niektórzy ludzie są jakby nieprzyjaciołmi samych siebie. Smith, który był natrętem przy obiedzie, stał się nieznośnym przy herbacie. Był jeszcze bardziéj napastniczym i niemiłym. Sybilla patrzyła na niego z oburzeniem i znów osądziła go zdolnym do wszelkiéj niegodziwości. Wistocie nie miała spokoju dopóki nie wypito herbaty. Przeszła natychmiast do sali, gdzie jednak niewielką ulgę znalazła, musząc sama przepędzać wieczór. Zamiast grać ojcu, jak to było jéj zwyczajem, grała saméj sobie, a sala wydała jéj się bardzo pustą i przestronną. Swiece woskowe palące się w ciemnych, bronzowych świecznikach, na kapie kominkowéj, pokazywały tylko Sybilli jak pusty jest ten pokój, gdy go nie rozjaśnia piękna postać i wesoła twarz jéj ojca. Grała niedbale, bez ożywienia. Wreszcie przestała. Rzuciła się w głęboki, staroświecki fotel, czerwonym aksamitem pokryty i rozmyślała nad krzywdą swoją. Dla czego porzucono ją dla takiego obrzydłego Smitha? Czemu ojciec nie odczypi się od niego. Niech tylko jego nie będzie w Saint-Vincent, a Sybilla nigdy tego miejsca nie nazwie nudném—

nigdy. Niezawodnie, zakonnice i stary ksiądz szczęśliwość swoję w znacznéj części zawdzięczali temu, że wolni byli od istot takich jak Smith. Oczywiście, nie przybywali do nich tacy intruzi z torbą podróżną i nie zajmowali im ojca. Z pewnością nie. Czyby nie należało jednak spytać się o to Denizy?

Podżegnięta chęcią zmiany jakiéjś, zerwała się szybko Sybilla i poszła wprost do sąsiedniego ze swoim pokoju, gdzie Deniza co wieczór poprawiała bieliznę. Nic nie wyrówna zdumieniu Denizy, gdy jéj młoda pani poważnie zapytała, czy czasem kiedy, jak obecnie ten nieznośny pan Smith, nie przybywał kto mięszać spokoju zakonnic w Saint-Vincent.

— Broń Boże! od chwili jak tu weszły, aż do śmierci, nikt obcy nie mógł ich widzieć, odpowiedziała Deniza.—I to piękna ksieni tak postanowiła.

— Piękna ksieni! — kto ona była? — i jak mógł kto wiedzieć że piękna, jeżeli tych dam nie można było widzieć?

— Widzisz pani, opactwo się spaliło i zostało odbudowane; poczem nowa ksieni i dziesięć zakonnic przybyły je zająć. Była to wielka uroczystość. Z chorągwiami, krzyżami, procesyą i tłumami. Zakonnice przybywając do bramy, przechodziły mimo ksieni. Kiedy ostatnia weszła, ksieni obróciła się do ludu i rzekła: „Bądźcie zdrowi, przyjaciele." Na co wszyscy krzyknęli: „Bądź zdrowa, świątobliwa matko;" a pewien młody człowiek, śmielszy od innych zawołał: „Święta matko, daj nam się widzieć, nim nas opuścisz." Wtedy, dobra ta pani, młoda wdowa, która opuszczała świat ze zmartwienia nad utratą męża, przyjęła tę prośbę, jako natchnioną pobożnością, a nie zaś w żadném inném celu. Podniosła więc welon tak, że ją wszyscy ujrzeć mogli. A była to najpiękniejsza twarz, jaką kiedykolwiek kto widział. Błyszczała jakby anielska — i olśniła wszystkich. Poczem weszła do opactwa i zamknęła bramę. Powiadają, że młodzieniec ten umarł z miłości; ale Narcyz mówi, że jeżeli tak było, to on był ostrygą. Bądź co bądź, ksieni usłyszała o tém i wydała rozporządzenie, że od tego dnia żadnéj z jéj zakonnic nie wolno pokazywać się obcéj osobie.

Sybilli wydało się to bardzo ciężkiém, tak, iż prawie się pogodziła z obecnością Smitha. Zaczynała już słabnąć w uprzedzeniu do tego jegomości, gdy nieszczęściem usłyszała jak ojciec odprowadzał go do jego pokoju. Ten czyn zbyt usłużnéj gościnności nanowo jéj gniew obudził. Co go za interes do Saint-Vincent przyprowadził? To przerażające — oczywiście przerażające. Uczuła silny ból głowy, i uwiadomiwszy o tém Denizę, odeszła do swego pokoju, zamknęła się— i poszła do łóżka.

Mimo bólu głowy i krzywd doznanych, Sybilla usnęła w pięć minut. Ale udręczenia dzienne odbiły się i w jéj snach. Widziała opactwo nie takie jakie teraz było. Ruina była wyrestaurowana i zamieniona na dom mieszkalny, widziała je takie, jakiém było dawniéj: piękny gotycki budynek. Widziała piękną ksienią, o jasnéj twarzy, i zakonnice, które śpiewając psalm *Laetavi*, przechodziły przez próg domu i nikły w bramie. Do tego powabnego obrazu, na nieszczęście, łączyły się i dziwaczne a posępne. Widziała swego ojca martwego, skrwawionego, pod drzwiami klasztoru, i pana Smith, pochylonego nad nim z złośliwą radością, o ponurym wzroku; a dotego jeszcze p. Smith miał na głowie ulubiony cynamonowego koloru czepek jéj ciotki, Miss Glyn.

— Och, ten okropny dręczyciel, — obudziwszy się, pomyślała Sybilla — Żeby raz przecie odjechał!

ROZDZIAŁ III.

Ale p. Smith nie odjeżdżał, ani nawet zabierał się do odjazdu. Bawił w Saint-Vincent, na coraz większe utrapienie Sybilli, znoszony z największą cierpliwością przez jéj ojca. Szczęściem przecież dwaj ci panowie większą część czasu spędzali w młynie pana Kennedy. Pan Kennedy miał młyn o którym przed rokiem wiele mówiono w Saint-Vincent.

Małe to nadbrzeżne miasteczko, w którém, jak w każdém francuskiém mieście, jest kolonija angielska, nie odznacza się niczém. Ma port, kilka statków morskich i jest bogate do pewnego stopnia. Ładna ale nie wartka i płytka rzeczka przez nie przepływa. Rzeczkę tę zawsze uważano za pozbawioną wszelkiéj siły wody, gdy ku zdziwieniu i zabawie sąsiadów, Kennedy, kupiwszy opactwo, wybudował na niéj duży młyn, w miejscu gdzie przechodziła przez jego grunta. Od śmiechu doszło do pogardy, gdy dowiedziano się że ów nierozsądny przybysz skupuje grunta bliższe i dalsze, pod uprawę rzepaku, aby następnie oléj wytłaczać. To już było największém głupstwem. Grunt Saint-Vincent nie sprzyjał téj uprawie. Chociaż Kennedy nikogo oto nie pytał, i można go było pozostawić jego losowi, niektórzy lepszego serca nie mogli znieść tego żeby się miał zrujnować. Przyszli więc do niego i wytłumaczyli w jakim był podwójnym błędzie. Kennedy wysłuchał z uśmiechem, podziękował i robił daléj co zaczął. Wybudował młyn i zasiał rzepak.

Czas pokazał że Kennedy miał słuszność. Pewne dowcipnie obmyślane przyrządy potroiły siłę wody; ale ponieważ był właścicielem jéj biegu aż do samego ujścia w morze, urządzenie to niczém nie przyczyniło się do wygody jego sąsiadów, wyżéj nad rzeczką mieszkających, a nadto nie dawało im żadnego pozoru do przyczepki.

Mogli patrzéć i zazdrościć, ale nie mogli szkodzić. Nadto, za nadejściem wiosny, grunta Kennedego pokryły się taką obfitością żółtego kwiecia, jakiéj nigdy nie widziano. Rzepak rósł w Saint-Vincent przecudownie. Dzień po dniu wozy nim naładowane toczyły się we wrota zabudowań gospodarskich. Drogi zaczerwieniły się obfitém ziarnem Młyn puszczono w ruch, a łoskot jego słychać było daleko. Silni ludzie pracowali dzień i noc nad wytłaczaniem oleju, i jak mówiono, zarabiali niesłychanie. Ich chatki ożywiały pustą dotąd majętność pana Kennedy—i z zaniedbanego okręgu rolnego, przedsiębierczy ten cudzoziemiec wkrótce zrobił kwitnący kącik, jakiego nie było na całém wybrzeżu.

Lecz młodość i dziewczęcość nie troszczą się o handel, przedsiębiorstwa i pieniądze. Sybilla nie lubiła młyna. Był bowiem jéj rywalem i odbierał jéj znaczną część czasu i przywiązania ojca. Jeżeli więc coś jeszcze mogło zwiększyć wstręt jéj do pana Smith, to z pewnością i to, że wespół z młynem, niegodziwy, oddalał od niéj ojca. Utyskiwała więc ciągle na obecność tego jegomości w Saint-Vincent, przekonana, że nic nadto już nie może być okropniéjszego. Wkrótce jednak własnym kosztem doświadczyła, że Smith może jeszcze zwiększyć liczbę swoich niegodziwości.

Na trzeci dzień po przybyciu Smitha do Saint-Vincent — jedli śniadanie. Wtem dał się słyszéć turkot przed bramą. Sybilla klasnęła w ręce i podniosła się z radością.

— Ciocia Glyn!—zawołała.

— Zdaje mi się że są dwa pojazdy, — powiedział Kennedy, podnosząc się wolniéj.—Sądzę że to pani Mush.—

Sibilla wstrzymała się na pół drogi do drzwi i spojrzała ze zdziwieniem na ojca. Kennedy był czułym i wyrozumiałym ojcem, ale wcale nie wynurzającym się. Widoczném było że oczekiwał przybycia pani Mush, i że nie uważał za potrzebne mówić o tém córce. Sybillę tymbardziéj dziwiło to podwójne zaproszenie, że ciotka jéj, panna Glyn, i kuzyna, pani Mush, jakkolwiek krewne i przyjaciółki, raz nazawsze uznały niepodobieństwém żyć w jednym domu. Ich przyjaźń wytrzymywała tylko jednorazowe spotkanie roczne, nawet miesięczne, ale nikła przy tygodniowych, a spadała niżéj zera przy codzienném widzeniu się. Przyzwanie jednéj, było zatém wykluczeniem drugiéj. Kennedy wiedział o tém dobrze tak jak i Sibilla, ale chciał zapewnić sobie bytność jednéj z tych pań w domu, podczas swojéj nieobecności, w razie, gdyby druga nie przystała. Zaprosił więc obie naraz, ufając w swoję potęgę, że potrafi je utrzymać w zgodzie przez dwa tygodnie, t. j. przez czas jaki sobie w myśli zakreślił na ich wypróbowanie. Nie zważając na zdziwiony wzrok córki, poszedł na spotkanie gości.

Z jednego pojazdu wysiadła wysoka, koścista, chuda pani, lat około pięćdziesięciu—to była Miss Glyn. Z drugiego wytoczyła się młodsza i przystojniejsza, pełna, okrągła, z wesołą twarzą, i błyszczącemi szaremi oczami — to była pani Mush. Dwie te panie przybyły każda z innéj strony i poznały się dopiero na ganku w Saint-Vincent. Przez chwilę patrzyły na siebie w niemém podziwieniu, potém Miss Glyn poczerwieniała i spojrzała na swój pojazd, jakby czując ochotę wrócić do niego natychmiast, podczas gdy pani Mush wybuchnęła śmiechem i podała rękę panu Kennedy.

Miss Glyn tymczasem zbierała myśli. Kennedy nie mógł miéć zamiaru trzymać je tu obie. — Saint-Vincent musi się stać polem bitwy—a dla dobra Sybilli trzeba przecie jéj zostać i wypędzić nieprzyjaciela.

— Jak się masz, pani Mush? zapytała z wielką godnością.

— O, bardzo dobrze, — lekko odpowiedziała mistress Mush.— Nie spodziewałyśmy się tego spotkania, nieprawda Maryo? Winnyśmy wielką wdzięczność panu Kennedy!

— Obowiązana jestem panu Kennedy—sztywno odpowiedziała Miss Glyn.

Sybilla miała minę bardzo pomięszaną, ale ojciec jéj był zupełnie swobodny i gościnny.

— Cieszę się że was widzę obie, moje panie, rzekł wesoło. Biedna Sybilla, tęskniła tu sama jedna ze mną; ale teraz rozweseli się w waszém towarzystwie.

Miss Glyn obróciła się zimno, trzymając się w pewnéj odległości od Kennedego; ale on grzecznie zerwał tę sieć pajęczą i tryumfująco wszedł do domu prowadząc z każdéj strony jednę panią. Sibilla postępowała za niemi, myśląc:—Kocham bardzo ciotkę Glyn, ale bardzo mi będzie smutno jeżeli mistress Mush odjedzie. Szkoda że nie można ich mieć obu razem.

Rzeczywiście, szkoda była, bo obie miały swoje przymioty. Miss Glyn kochała bardzo Sybillę, była dla niéj czułą, ale surowych obyczajów. Pani Mush była wesoła, gadatliwa wdowa, niezmiernie bawiąca Sybillę; sama bowiem nigdy się nie smucąc miała dar rozweselania wszystkich otaczających. Ale przy tém wszystkiém nie mogła żyć w towarzystwie z Miss Glyn, i Sybilla ciekawa tylko była, jak długo razem wytrzymają ze sobą te dwie panie. Sądząc z dawniejszych doświadczeń, przypuszczała trzy dni, a co najwięcéj tydzień. Pani Mush trzeba oddać sprawiedliwość, że zupełnie była za zgodą i pokojem. Lubiła szeroki, miły widok starego opactwa i pragnęła zostać w nim jak najdłużéj.

— Nie zajmuj się mną, moja droga, rzekła, widząc zakłopotanie Sybilli, gdy ojciec włożył na nią obowiązek odprowadzenia tych pań, każdéj do jéj pokoju.—Pokaż mi tylko drzwi mego pokoiku, a ja się przedrzemię trochę — to najlepsze śniadanie.

Sybilla podziękowała jéj wzrokiem, ale Miss Glyn przyjęła to jako należne jéj ustępstwo i sztywnie weszła do swego pokoju, obejrzała się w koło, kiwnęła głową na znak zadowolenia i rzekła krótko:

— Widzę, że za miesiąc róże rozkwitną przed mojém oknem.

— Mamy róże wszędzie — rzekła Sybilla bez namysłu; — i pani Mush ma je przed swojém oknem.

— Ale nie przypuszczam żeby pani Mush miała zamiar czekać tu ich rozkwitu — zimno odpowiedziała Miss Glyn.— Wistocie uważam to za rzecz niewątpliwą. Zdaje się jakiś dziwny rozkład tego domu, Sybillo?...

— Miły jest dom, moja ciotko, czy chcesz go obejrzéć?

Miss Glyn, z natury żywa, lubiła grać rolę przeciwną, bardzo poważnéj i spokojnéj. Z uśmiechem pełnym godności, odpowiedziała, że jeszcze ma dosyć czasu.

— Jest bardzo wygodny, moja ciotko, — nalegała Sybilla, i gdyby tylko ten przebrzydły pan Smith chciał odjechać, zdaje mi się że nic by mu już nie było do zarzucenia.

Miss Glyn przestała na chwilę odwiązywanie czepka, i zapytała— kto to taki, ten p. Smith?



Ubodzy.

— Oh, strasznie ordynarny człowiek, nie wymawia litery *h*; przybył tu przed kilkoma dniami z torbą podróżną.

— Z torbą podróżną! wykrzyknęła Miss Glyn zdziwiona, dla czego nie z kufrem?

— Zdaje się dla tego, że nie miałby co włożyć do niego; biedny człowiek, odpowiedziała Sybilla, z pewném politowaniem.

Zdziwienie Miss Glyn przeszło w oburzenie. Wyznała iż dziwi się jak mógł p. Kennedy zaprosić kogoś podobnego. Sybilla tajemniczo kiwnęła głową, dając do zrozumienia, iż Smith przybył nieproszony.

— I p. Kennedy znosi jego postępowanie! wykrzyknęła Miss Glyn, — niedorzeczność!

I Miss Glyn szczerze postanowiła pozbyć się pana Smith bez straty czasu.

Pani Mush potrzebowała orzeźwić się snem; ale Miss Glyn nie będąc w tém usposobieniu, wkrótce mogła zejść wraz z swoją siostrzenicą na dół i przyjąć filiżankę herbaty.

— P. Smith, panna Glyn—rzekł Kennedy, swobodnym tonem. Mis Glyn utkwiła spojrzenie w panu Smith. On toż samo zrobił względem niéj. Od téj chwili wojna była wypowiedziana. Panna Glyn miała skryty zarzut przeciw podróżnéj torbie Smitha, któréj nie widziała. Temu znów nie podobały się ceglaste wstążki u czepka panny Glyn, które widział. Podczas więc gdy Miss Glyn piła herbatę, nie zwracając na niego uwagi, wsparł się łokciami na stole i patrzał na nią z szyderczym uśmiechem.

Kennedy widząc na co się zanosi, zdołał go odprowadzić, proponując przechadzkę do młyna. Lecz kamień spadający, nowéj siły nabywa gdy spotka na drodze przeszkodę w biegu. Tak się też stało i z milczącym gniewem Smitha.

Miss Glyn wypiwszy herbatę gotowa była do obejrzenia domu. Zrobiła to powoli, szczegółowo i z pewnym krytycznym poglądem.

— Nie podoba mi się ta z wyłupiastemi oczami francuzka, wasza służąca — powiedziała do Sybilli — a śmiesznie mieć służącego z imieniem Narcyz. Dom byłby niezły, gdyby nie te schody które są niegodziwe. — Niebardzo mi się podoba klasztor, ale ja to wszystko ponaprawiam, Sybillo.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Дозволено Цензурою. 14 (26) Іюня 1871 г.— **Redaktor i Wydawca**, Franciszek Gumowski

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*,